

POLSKA WALCZĄCA

FIGHTING POLAND ■ POLISH WEEKLY ■ LA POLOGNE EN LUTTE

Wychodzi co tydzień

Londyn, dnia 18 czerwca 1949 r.

Rok XI. Nr 24

Wszystko, co nas łączy...

Jak donosiliśmy w nrze 21 „Pol Walcz.” kol. Laszewski, prezes Zarządu Głównego SPK, udał się do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, w celu wzięcia udziału w Walnym Zjeździe tej organizacji i ustalenia współpracy między nią a SPK, co jest ważne ze względu na spodziewany masowy napływ polskich kombatantów drugiej wojny światowej do Stanów Zjednoczonych.

W niniejszym sprawozdaniu ze zjazdu SWAP-u podajemy pierwsze relacje z misji kol. prezesa Laszewskiego.

X Walny Zjazd Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej rozpoczął się 28 maja br. w Detroit. Zgromadził on 220 delegatów Placówek stowarzyszenia, 216 delegatów Korpusów Pomocniczych i kilkudziesięciu delegatów Zw. Przyjaciół SWAP-u. Oprócz kol. Laszewskiego przybyli z Londynu na Zjazd: kol. Z. Wołyński, prezes Tymczasowego Komitetu Inwalidów i członkowie SPK oraz ppł. J. Woyciechowska, delegatka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży oraz Kola Opieki nad Żołnierzem. W zjeździe wzięli również udział liczni przedstawiciele władz, organizacji i społeczeństwa amerykańskiego i polsko-amerykańskiego.

W niedzielę odbyło się uroczyste nabożeństwo odprawione przez ks. dziekana W. Rojka, kapłana PSZ, znanego nam dobrze z terenu SPK. Kazanie wygłosił kapłan SWAP-u, ks. J. Szałtek. Zjazd udał się do kościoła

wspaniałym pochodem, w którym obok delegatów na Zjazd wzięli udział liczne delegacje innych organizacji polonijnych. Większość uczestników pochodu wystąpiła w mundurach, nad głowami powiewały sztandary, wśród których wybił się sztandar Placówki 7, ofiarowany przez miasto Lwów, oraz — Placówki 113, ofiarowany przez Warszawę. W czasie przemarszu przegrywała wspaniała orkiestra Oddziału Doboszów i Trębaczów PLAW-u.

Zjazd rozpoczął się poprzedniego dnia, w sobotę, a pierwszym punktem porządku było powitanie uczestników i przedstawienie gości, wśród nich — delegatów z Londynu. Warto podkreślić piękny zwyczaj przedstawiania również delegatów na Zjazd, odznaczonych krzyżem *virtuti militari*. Następnie rozpoczęły się przemówienia.

Po przemówieniu burmistrza miasta Hamtramck, dra S. Skrzyckiego, zabral głos ks. dziekan Rojek, który m.in. powiedział:

„W kraju naród ma usta zakneblowane, ale ufa, że wy będziecie stali na straży i bronili oraz domagali się sprawiedliwości dla Polski”.

„Odrzućmy wszystko, co nas dzieli, bierzmy wszystko, co nas łączy. Żołnierze drugiej wojny i Wy, kochani żołnierze-weterani z przed lat 30 — to jedno, to jedno serce, to jedna wola przez ukończenie największych ideałów żołnierza”.

Przemówienie kol. Laszewskiego zostało przyjęte ze specjalną uwagą, tak że względu na reprezentowaną przez niego organizację, SPK, jak i z tego

względem, że działacze polonijni mieli już możliwość zapoznać się z nim podczas jego poprzedniego pobytu w Ameryce, na Konwencji Kongresu Polonii Amerykańskiej w Filadelfii.

Kol. Laszewski w swoim przemówieniu przypomniał zebranym dzieje żołnierza polskiego walczącego na wszystkich frontach ubiegłej wojny. Uwypuklił też całą tragedię, jaką ten żołnierz przeżył i jego nieugięte stanowisko:

„Pozostając, nie ugięliśmy się pod brzmieniem obowiązków, nie obniżyliśmy swego lotu, nie zrezygnowaliśmy z celów najwyższych i najpierwszych. Odpowiedzią na Jaltę, na widmo demobilizacji — była wola trwania w zmienionych warunkach, w nowych więzach organizacyjnych”.

W dalszym ciągu prezes Laszewski mówił o SPK, o jego celach, światowym zasięgu organizacyjnym, o duchu, jaki ożywia nasze Stowarzyszenie i idealach kombatanckich:

„Głosząc hasło jedności narodu w kraju i na emigracji i czując się obywatelami świata opartego o chrześcijańską kulturę Zachodu, ożłonkowie Stowarzyszenia — b. żołnierze nie zapominają również o celach ogólnonarodowych i ogólnoludzkich. SPK znalazło się w pierwszej linii frontu Polski Walczącej na obczyźnie przeciw porządkowi dyktowanemu przez totalitarny Wschód”.

„Wytrącony z ręki żołnierza oręż walki o wolność Polski, nie pozbawił go możliwości działania na korzyść narodu w ramach cywilnej, społecznej organizacji

kombatanckiej, która stała się ponadto szkołą współczesnego myślenia i terenem praktykowania rzetelnej demokracji, opartej o wolność sumienia i przekonania”.

Kol. Laszewski mówił następnie o wspólnych tradycjach amerykańsko-polskich, o jedności ideowej żołnierzy polskich obu wojen. Przekazał też słowa gen. Hallera, pod którego dowództwem walczyła większość weteranów-członków SWAP-u, słowa gorących życzeń „stworzenia pod wspólnym dachem społecznej demokratycznej rzeczypospolitej żołnierskiej”. Mówiąc o potrzebie jedności organizacyjnej kol. Laszewski powiedział:

„Mój gorący, serdeczny apel do Was Koledzy — jest apelem tysięcy b. żołnierzy, zwłaszcza tych najbardziej upodleganych, z obozów DP, z niemieckiego domu niewoli. Jeszcze nie zamilkł w mojej pamięci głos żołnierskiego wołania do Was, kiedy przed miesiącem odwiedzałem ich w Niemczech. Oni, przybywając gromadami do Stanów, chcą wraz z Wami znaleźć się we wspólnej organizacji...”

Gorące swoje przemówienie kolega prezes zakończył słowami:

„...razem krzawić będziemy w świecie wiarę w Polskę, stanowiącą o swym losie — całą, demokratyczną i sprawiedliwą społeczność. Razem wierzyć będziemy w wiosnę nadziei w sercach naszych, tak jak wierzymy w nieśmiertelność naszego narodu!”

Po przemówieniu przedstawiła SPK zerwały się żywe oklaski.

Następnie przemawiała p. J. Woyciechowska przekazując Zjazdowi życzenia od gen. Hallera i przedstawiając sprawę, z jakimi przybyła na Zjazd, a mianowicie sprawę młodzieży i tych żołnierzy, którzy potrzebują szczególnej opieki.

Kol. Z. Wołyński mówił o sprawach inwalidów PSZ. Zobrazował bardzo trudne warunki ich bytowania i potrzebę pomocy. Zaapelował o zorganizowanie ryneków zbytu dla weteranów inwalidów, o bezpośrednią pomoc dla najbardziej potrzebujących i o rozpoznanie w Ameryce znajomości spraw inwalidów-żołnierzy PSZ, z którymi los tak srogo się obszedł.

Zjazd odbył wybory nowych władz SWAP-u. Na komendanta naczelnego wybrano ponownie p. Jana Deca. Obrady toczyły się bardzo sprawnie, pod przewodnictwem p. Z.P. Zakrzewskiego.

Jeżeli chodzi o współpracę SWAP-u z SPK, to Walny Zjazd stwierdził wielką jej potrzebę. Kol. Laszewski kilkakrotnie zabierał głos w tej i in. sprawach. Szczegóły współpracy zostaną omówione przez kol. Laszewskiego z Zarządem Naczelnym SWAP-u w Nowym Jorku.

Zjazd, który był największym z dotychczasowych zjazdów SWAP-u, powziął szereg uchwał w sprawach zasadniczych.

Obok podajemy fragmenty rezolucji w sprawach polityczno-ideowych i organizacyjnych oraz, w całości, rezolucję w sprawach emigracyjnych. (er)

Rezolucje Walnego Zjazdu Stow. Weteranów AP w USA

W sprawach ideowo-politycznych

Naród Polski w swym historycznym pochodzie ku wolności znowu znalazł się w niewoli barbarzyńskiego świata wschodniego. Trwając w największym bohaterstwie i samozaparcu, naród w kraju nie może podjąć walki o swe oswobodzenie wśród narodów na Zachodzie. Rola ta przypadła wszystkim ludziom polskiej, którzy znaleźli się na wolności wśród wolnych społeczeństw świata. W tej osobliwej chwili historycznej jedność działania i zgodny wysiłek milionów mas ludzi polskiego pochodzenia na emigracji jest nakazem najważniejszym.

My, byli żołnierze Rzeczypospolitej, pragniemy brać świadomy udział w tym pochodzie ku wolności, w walce o wyzwolenie narodu polskiego. W dążeniu do odzyskania Polski opartej o granice: ryska na wschodzie i Odra-Nysa na zachodzie, pragniemy oprzeć się o Rząd RP na wygnaniu, który jest symbolem ciągłości państwowej. Rząd ten powołany przez Prezydenta RP, powinien oprzeć się o wszystkie siły polityczne na emigracji, aby w ten sposób stał się wyrazem woli i dążeń narodu.

W sprawie emigracji b. żołnierzy PSZ

Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, odbywający się w Detroit w dniach 28-30 maja 1940 roku, z największym niepokojem przyjmuje do wiadomości niezadawalający stan sprawowania do Stanów Zjednoczonych Polaków z Niemiec w ramach bil'u amerykańskiego z 1948 roku.

Walny Zjazd nakłada obowiązek na Zarząd Główny, Zarządy Okręgów i Placówek SWAP:

— poczynienia energicznych starań u międzynarodowych czynników amerykańskich, zdążających do rozszerzenia bil'u o celom objęcia jego dobrodziejstwami i innych żołnierzy PSZ, z innych terenów;

— wpływanie na kierownictwo Polonii Amerykańskiej [Radę Polonii i Kongres Polonii] w kierunku uzgodnienia akcji imigracyjnej, wyłonienia jednej naczelnej i sprawnie działającej komórki imigracyjnej i wysłania swoich przedstawicieli na teren Niemiec;

— pomożenie Kolegom-Kombatantom drugiej wojny światowej z Niemiec w uzyskaniu affidavitów, zapewnieniu pracy i mieszkania;

— współpracę we wszystkich powyższych sprawach ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów i jego Zarządem Głównym w Londynie, oraz z Oddziałami SPK w zachodnich strefach okup. Niemiec.

ODPREŻENIE — NA JAK DŁUGO ?

Nie podobna zaprzeczyć, że w polityce międzynarodowej nastąpiło w ostatnich miesiącach spore odprężenie. W przeciwieństwie do roku ubiegłego znacznie mniej się mówi o wojnie; alarmy ucichły, nastroje paniczne stały się rzadsze. Prasa świata mniej się zajmuje kryzysami w stosunkach międzynarodowych, a więcej narastającymi w różnych krajach trudnościami wewnętrznymi. Mężowie stanu składają pełne optymizmu oświadczenia. Już nie tylko Truman, znany ze swego optymizmu, mówi, że szanse pokoju są lepsze niż kiedykolwiek, nie tylko Bevin wśród 200 lat pokoju, ale nawet Churchill, który na ogół odgrywa rolę Kassandry, ostatnio stwierdził, że w przeciwieństwie do lat 1953-56, kiedy to czuł zbliżanie się wojny, teraz nie słyszy głosów, które by ją wróżyły. Francuski minister spraw zagranicznych, nie zważając na skrajne rozbieżności uwidocznione na konferencji paryskiej przeprowadzonej, że zbliża się koniec zimnej wojny.

A z drugiej strony podział Europy i świata pogłębia się, wysięg zbrojeń trwa z niesłabnącą siłą i nie podobna wskazać na żadną zasadniczą zmianę w sytuacji międzynarodowej, która by uzasadniała przekonanie, że szanse uniknięcia zbrojnego konfliktu rzeczywiście wzrosły. Jak wytłumaczyć tę sprzeczność? Na czym polega istota zmiany nastrojów? Jak się to dzieje, że nawet brak rezultatów konferencji paryskiej i nowe tarcia w Berlinie nie wywołują napięcia?

ZMIANA TAKTYKI

Niewątpliwie głównej przyczyny nastrojów szukać należy w zmianie tak-

tyki i metod obu głównych mocarstw świata — Rosji i USA. W ciągu ostatnich miesięcy nastąpiły bowiem nie tylko zmiany personalne na kierowniczych stanowiskach w obu krajach, takie jak przyjście Wyszynskiego na miejsce Molotowa, Gromyki na miejsce Wyszynskiego, Czujkowa na miejsce Sokolowskiego, a w Ameryce — ustąpienie Marshalla, Lovetta, Forrestala, który wkrótce po tym zmarł śmiercią samobójczą, dalej gen. Clay'a, min. wojny Royalla i szeregu innych, — ale i jednocześnie nastąpiła zmiana taktyki.

Rosja wyraźnie zaniechała swej dotychczasowej polityki prowokacji i politycznych prób podboju Europy zachodniej. Kreml unika wszystkiego, co powodowałoby zaostrzenie sytuacji. Nie tylko więc nie ma mowy o nowych próbach wyrzucenia mocarstw zachodnich z Berlina, co w roku ubiegłym było jednym z celów polityki sowieckiej, ale uspokaja się raczej sytuacja w Grecji, a partie komunistyczne we Francji, Włoszech itd. siedzą cicho jak myszy pod miodłą. W Berlinie Rosjanie pozwolili nawet na wyrzucenie policji wschodniej z dworców, mimo iż działała tam na podstawie układów 4 mocarstw!

OBAWY I NADZIEJE KREMLA

Jakie przyczyny nakłoniły Rosję do takiej zmiany taktyki? Oczywiście cele jej pozostały niezmienione, tak samo jak podstawowe przekonanie, że przed jej późniejszym konfliktem między obu systemami jest nieunikniony. Kreml nadal pragnie uniknąć przedwczesnego wybuchu tego konfliktu,

przy czym „przedwczesny” z sowieckiego punktu widzenia byłby on wówczas, jeśli by zaczął się zanim Rosja miałaby bomby atomowe w dostatecznej ilości, t.j. najprawdopodobniej dopiero po 1953 lub 1954. Do tego czasu Rosja skonsoliduje swe podboje w Europie i zorganizuje Chiny.

Do niedawna Kreml wychodził z założenia, że może sobie na różne rzeczy pozwolić nie ryzykując konfliktu. Ale spostrzegł się, że swoimi posunięciami działa na rzecz przyspieszenia go, w każdym razie zaś powoduje wzmożenie zbrojeń amerykańskich. Przecież gdyby nie przewrót w Czechosłowacji, a potem blokada Berlina, która nie Rosji nie dała, nie byłoby paktu atlantyckiego, planów pomocy wojskowej, itd.!

Dlatego Kreml próbuje teraz inne taktyki. Chce przez zmniejszenie napięcia w świecie i osłabienie tempa zimnej wojny wywołać w Ameryce wątpliwość czy potrzebny jest wielki i kosztowny wysiłek zbrojeniowy — własny i finansowany przez USA wysiłek zachodnio-europejski. Spekulacje na kapryśności Kongresu i jego obecne dążenia do oszczędności...

AMERYKA TEŻ SIĘ NIE ŚPIESZY

Jeśli chodzi o czynniki, które uzyskały obecnie decydujący wpływ w Stanach Zjednoczonych, to wydaje się, że są one skłonne przeceniać sukcesy Ameryki w zimnej wojnie, sądząc, że ekspansja sowiecka w Europie została ostatecznie zatrzymana i że, być może, zaczyna się jej odpyły. Przywiązują one wielką wagę do trud-

ności, jakie Rosja ma w swej własnej strefie i do faktu, że nie zdołała się ona uporać z Tita. Liczą na pogłębianie się kryzysu „nacionalistycznego” w państwach satelickich.

W każdym razie Amerykanie wychodzą z założenia, że na próbę silczy zgola na wojnę prewencyjną jest jeszcze czas. W 1951 Rosja nie będzie miała bomby, a Zachód dzięki programowi zbrojeń amerykańskich i zachodnio-europejskich będzie znacznie silniejszy niż obecnie. Może do tego czasu trudności wewnętrzne albo śmierć Stalina wytworzy sytuację, w której łatwiej będzie bez wojny, sama tylko presja, osiągnąć warunki prawdziwego pokoju... A jeżeli nie, to w każdym razie będzie to moment dogodniejszy dla działania. Tępot natomiast nie należy czynić niczego, co by pchnęło Rosję do czynów rozpaczliwych — rozumując ci Amerykanie.

Z takiego rozumienia na Zachodzie rodzi się obecnie dążenie do jakiegoś czasowego ułożenia stosunków z Rosją. W trwałej współpracy obu systemów na podstawie podziału przebiegającego przez środek Niemiec tak samo nikt poważnie myślący nie wierzy na Zachodzie, jak nie wierzy w to Kreml.

Gdy tak jedna i druga strona chce opóźnić decydującą próbę sił różniących się tylko terminami — jedna o dwa lata, druga o cztery czy więcej — nawet zupełne zerwanie w Paryżu, ba, nawet wznowienie blokady Berlina nie powinno wywołać wielkiego zaostrzenia sytuacji i ponownego rozgrzania się zimnej wojny.

KAZIMIERZ ALBAN

Jestem kombatantem:

Żołnierz-obywatel

W poprzednim nrze „Polski Walczący” staraliśmy się wyłowić istotę pojęcia: „kombatant” w znaczeniu członka SPK i przysłuszy do przekonania, że pokrywa się ono z pojęciem „żołnierza-obywatela”.

Dlaczego? Otóż przede wszystkim dlatego, że oznacza to żołnierza, który dobrowolnie i świadomie, z głębokiego poczucia obowiązku obywatelskiego walczy o swój kraj. Nie jest on żołnierzem z przymusu [chyba własnego, wewnętrznego], nie jest żołnierzem najemnym ani też żołnierzem-awanturnikiem, łowcą przysgód. Są i tacy, ale my nie byliśmy i nie będziemy. Poeta, Edward Stoiński, tak pięknie powiada o żołnierzach polskich:

„Nikt im iść nie kazał
— poszli, bo tak chcieli,
bo takie dziedzictwo
wziął po dziadach wnuk.
Nikt nie pytał o nic,
a wszyscy wiedzieli
za co idą walczyć,
komu płacić dług.”

Drugim zasadniczym rysem żołnierza-obywatela jest to, że nie ustaje on w walce o swój najwyższy ziemski ideał, jakim jest dobro i szczęście własnej ojczyzny. Chociaż jesteście w cywilu i chociaż sytuacja nie pozwala na zbrojną walkę przeciw ciemnościom naszego Kraju, nie rezygnujemy z postawy walczącego żołnierza i wyznajemy zasadę, że również dobrowolnie, bez żadnego nakazu, we wszystkich dziedzinach naszego życia i we wszystkich okolicznościach powinniśmy postępować tak, jak postępuje prawy żołnierz, który wie, że od jego osobistego wkładu, trudu i zapału zależą losy nieustającego zmagania o „być albo nie być” naszego Narodu i Państwa.

Żołnierz-obywatel przebywający na obczyźnie, w czasach wydawałoby się beznadziejnego dla Polski ułożenia się stosunków w świecie, wie jednak, że nie wolno mu pozostawać w bezczynności, w biernym oczekiwaniu lepszego jutra, w oddawaniu się jedynie swoim osobistym sprawom. Żołnierz-obywatel uświadamia sobie doskonale, że to nasze „nie nie znacie” na emigracji jest tylko pozorne, że takie przekonanie stara się wyrobić w nas właśnie nasi wrogowie-komuniści oraz, niestety pewna część naszej emigracji, która zmoczyła się i zaraziła defetyzmem.

Żołnierz-obywatel wie, że od jego osobistej postawy i działania sprawa polski nawet w obecnej sytuacji zależy w bardzo dużym stopniu. Wiedzą o tym wrogowie, dlatego tyle wkładają wysiłku w przekonanie nas, że emigracja „gnije”, „rozkłada się”. Jest to dobrze znany chwyt propagandowy, a w tej propagandzie żołnierz-obywatel, jakim jest członek SPK, widzi tylko potwierdzenie wielkiego własnego znaczenia.

Na czym powinna polegać działalność i w czym leży siła nasza i niebezpieczeństwo dla wroga — powiemy sobie innym razem. Obecnie chodzi nam tylko o stwierdzenie, że kombatant — członek SPK jest jednostką czynną, o człowiekiem patrzącym w przyszłość i walczącym o nią, a nie osobnikiem zmęczonym, zrezygnowanym, zobojętniałym — pokonanym.

Żołnierz-obywatela pokonać nie można. Bo chociaż odbiora mu broń, rozwiąza jego formację, rozproszą w terenie — on nie przestaje działać i walczyć na własną rękę i organizować siłę od dołu.

W ten właśnie sposób rozwija się i kerpnie SPK, organizacja skupiająca ludzi, znających swoje wartości.

Euro

W związku z głosami opinii na łamach naszego pisma w sprawie obywatelstwa obcego [patrz str. 2] zawiadamiamy, że w następnym nrze „Polski Walczący” zamieścimy artykuł omawiający całość tego zagadnienia.

Po 9 latach...

GRENADIERZY POLSCY WE FRANCJI



Wręczenie sztandarów pułkom 1 Dyw. Grenadierów, ofiarowanych przez miasto Arras, w maju 1940 r.

1 Dywizja Grenadierów nie była zwykłą dywizją. Posiadała ona w historii Wojska Polskiego ostatniej wojny swoje specjalne oblicze i swój specjalny rodowód.

Powstanie tej dywizji było rezultatem spontanicznej woli naszej emigracji we Francji, która tak wymownie i wyraźnie zadokumentowała solidarność narodową i braterstwo broni z aliantami zachodnimi. Wyraz swej woli dała emigracja polska we Francji już wiosną 1939, realizacja jednak mogła nastąpić dopiero we wrześniu tegoż roku.

1 Dywizja Grenadierów była gwardią honorową Polonii Francuskiej, rekrutowała się w 80% spośród emigrantów polskich w tym kraju. W ramach jej już na samym początku okresu szkolenia nastąpiło godne uwagi życie się i wzajemne zrozumienie tak różnych zdawałoby się elementów, jak polski górnik z Lille, robotnik z Marsylii czy inteligent z Paryża, z tymi ze Lwowa, Wilna i Warszawy, którzy zdążyli świeżo dołączyć do kłesze wrześniowej.

W lutym r. 1940 już prawie gotowa dywizja musiała oddać pośpiesznie formowanej Brygadzie Podhalańskiej po batalionie ze wszystkich szych puł-

ków. Mimo to w początkach kwietnia dywizja mogła być już przesunięta do strefy przyfrontowej, gdzie weszła w skład 4 Armii franc. gen. Requin. Trwający tu miesięczny postój wykorzystano na uzupełnienie szkolenia. W połowie maja przesunięto dywizję do strefy frontowej. Stan dywizji wynosił wówczas 16.000 ludzi. Dowódcą był gen. B. Duch.

Wyznaczony dywizji odcinek frontu na linii Maginota nie był ufortyfikowany, lecz stanowił 30 km łuki przeciętej rzeką Sarre. Dywizja wchodziła do walki w ramach 20 korpusu franc., dowodzonego przez gen. Huberta.

Już 29 maja 1940 roku Niemcy spotkali się z ogniem polskiej artylerii. Była to 3-dniowa bitwa artyleryjska w rejonie Bois de Vitz. Dniem chrztu bojowego piechoty dywizyjnej był 14 czerwca.

Krwawe, prowadzone niekiedy w tragicznych okolicznościach walki dywizji na szlaku Altviller, Wittersburg, Guernange, Dieuze, Canal Marne au Rhin, Baccarat i Raon L'Étap trwały do dnia 21 czerwca. Najkrwawsze walki stoczyła dywizja w dniach 17 i 18 czerwca nad kanałem Marne au Rhin. Dzień 21 czerwca był dla żołnierzy

dywizji jednym z najcięższych. W dniu tym wobec możliwości podpisania przez Francję kapitulacji w każdej chwili dowódca dywizji zmuszony był wydać słynny rozkaz sztyfrowany 4441 nakazujący oddziałom dywizji zniszczenie sprzętu i przedzieranie się na południe do tzw. nieokupowanej Francji. Nie wszystkim udało się wydrzeć z mocno zaciśniętego pierścienia niemieckiego — część żołnierzy dostała się do niewoli.

Dzień 21 czerwca, ostatni dzień walk dywizji jest dniem jej święta. Tego dnia dywizja otoczona z wszystkich stron, mimo klęski sprzymierzonej armii francuskiej i beznadziejnej sytuacji, odniosła ostatni duży sukces moralny — nie skapitulowała. Przegrębieni, lecz nie złamani, poszli grenadierzy polscy walczyć dalej: bądź to w ruchu podziemnym francuskim, bądź w oddziałach polskich formowanych w W. Brytanii, Wielu żołnierzom dywizji nie obce były więzienia rządu Vichy, przeprawy przez Pirenceje, słynny obóz Miranda w Hiszpanii itd. Grenadierów spotykamy później wszędzie: pod Tobrukiem i Gazalą, Monte Cassino czy Bolonią, Falaise czy Arnheim.

Straty 1 Dywizji Grenadierów w okresie walk we Francji wyniosły około 1.000 zabitych i ponad 3.000 rannych.

Dywizja otrzymała 1347 odznaczeń bojowych polskich i 1612 francuskich. Francja nie zapomniała o polskich grenadierach. Z inicjatywy społeczeństwa francuskiego powstał Komitet Budowy Pomnika Poległym Grenadierom, który już rozpoczął swoją działalność. Pomnik ma stanąć pod Lagarde. Władze miasta Dieuze zorganizowały w ub. roku specjalną uroczystość nadania głównej ulicy tego miasta nazwy imienia 1 Dywizji Polskich Grenadierów.

Krótką lewą pełną treści jest historia tej dywizji.

Tradycję jej przejęła sformowana w Szkocii 1 Brygada Grenadierów, wchodząca w skład 4 DP.

Święto Dywizji obchodzone będzie w roku bież. w niedzielę dnia 19 czerwca. Program londyński przewiduje:

Nabożeństwo w Brompton Oratory [godz. 13], wspólny obiad koleżeński w „Ognisku Polskim”, 55 Exhibition Road, London, S.W.7. [godz. 14] i zebranie w „Ognisku Polskim” [godz. 15.15].

Zarząd Kola Grenadierów W. Brytanii wzywa wszystkich b. żołnierzy 1 Dyw. Gren. oraz 1 Brygady Gren. o wzięcie udziału w Zjeździe. Zarząd prosi Kolegów o zawiadomienie Sekretarza Kola o zamiarze wzięcia udziału we wspólnym obiedzie i zebraniu do dnia 16 czerwca pod adresem Kola Grenadierów, 38, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

Srebrna nić Łączności

Kolo SPK Nr 2, b. żołnierzy Batalionu Łączności Sztabu NW czasu minionej wojny, obchodzi w tym pierwszym roku ich życia cywilnego swój Dzień Łączności. Kolo to skupia zorganizowaną część ogółu b. łącznościowców i pielęgnuje tradycje macierzystego oddziału, Pułku Radiotelegraficznego z czasów Polskiej Niepodległości.

Zamieszczając z tej okazji, poniższe słowa, dołączamy do życzeń kombatan-tów z innych rodzajów broni nasze życzenia: najlepszego rozwoju łączności wewnętrznej w całym SPK.

W Polsce Niepodległej poszczególnie formacje wojsk łączności obchodząły swe święta pułkowe w różnych dniach końcowych czerwca na pamiątkę swego powstania.

Również w czerwcu formacje te otrzymały sztandary. Był to dla ówczesnych żołnierzy szczególnie pamiątkowy dzień. Bo żołnierze łączności widzą w sztandarze nie tylko symbol celu, o który walczą podczas wojny, nie tylko symbol ich całego żmudnego wysiłku i niewdzięcznej, nieefektywnej pracy, którą składają w ofierze dla wspólnych osiągnięć, lecz widzą również szczególnie wyraziście, że ten symbol jest także najistotniejszym, choć prawnym środkiem łączności, który nie zawodzi.

Był to niezapomniany do dziś widok, gdy spoza ciemnej, jakby symbolicznej wtedy chmury burzowej wyrzucił jasny promień słoneczny, aby podczas uroczystości zapłonął w srebrnych wyszczytach i orłach sztandarowych nad równym szeregiem pocztów na Placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie.

Wielu z nas zauważyło wówczas, że drzewce jednego ze sztandarów było nieregularne, wyższe od innych.

Różnie to sobie tłumaczono. Zgodziliśmy się w końcu na jedno: widocznie tak musiało być, ponieważ sztandar na tym drzewcu był przeznaczony dla największej formacji wojsk łączności: Pułku Radiotelegraficznego w Warszawie.

Później dopiero, gdy już sztandar nie było, przy okolicznościowych wspominkach, dopatrywaliśmy się w tym również symbolu, a mianowicie głównej roli łączności, jaką odgrywali radiowcy podczas wojny.

Wprawdzie kaprysem losu wiado-

mość o historycznym zwycięstwie, zdobyciu słynnego klasztoru na Monte Cassino, przyniósł gołąb pocztowy a nie fale radiowe, jak również w wielu innych ważnych wydarzeniach wojennych wysuwały się na czoło inne środki łączności, niemniej od początku do końca ubiegłej wojny radio było i pozostało głównym środkiem.

Dzień 29 czerwca był dniem święta Pułku Radiotelegraficznego. Nie wiecie, że gdy podczas wojny nowe formacje łączności zastąpiły dawne, gdy unowocześnione Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie zostały nasycone od góry do dołu wszelkimi sprzętem radiowym, a b. żołnierze Pułku stali się instruktorami i zajęli się tworzeniem nowych rzesz radiowców — dzień 29 czerwca stał się dniem święta wszystkich łącznościowców.

Dziś Dzień Łączności po raz pierwszy obchodzą żołnierze łączności jako już cywile. Los podobnie jak i innych b. żołnierzy PSZ, rozproszył ich po świecie i każe szukać podstaw bytu w różnych zawodach pracy zarobkowej. Wszędzie jednak tam, gdzie przynajmniej kilku się znajduje, ciężką kłótnię „prawem łączności”, organizują się, a z okazji swego święta będą wspominać minione chwile, kolegów, przeżywać; zastanawiać się również nad dalszym wzmożeniem łączności już teraz — dla lepszego jutra.

Członkowie Kola SPK Nr 2, sięgając wspomnieniami do dawnych tradycji, wspomną przede wszystkim sztandar Pułku Radiotelegraficznego, którego już nie ma, a który przecież ich mimo to łączy. Sztandaru tego nie ma, bo został spalony... Spalono go w dramatycznych okolicznościach w 1939 r. w Polsce, w lesie niedaleko miejscowości Mamoty Wielkie w lubelskim.

Pułk Radiotelegraficzny po wydzieleniu jednostek frontowych, jako przysyły Ośrodek Zapasowy, ewakuował się na rozkaz z Warszawy na wschód. Miał on szkoły specjalistów i resztę sprzętu, ale był prawie bez środków transportowych. Bombardowany wielokrotnie i rozbijany, z trudem dotarł marszem pieszym do Kowla, aby wpaść w ręce bolszewików. Większa część żołnierzy, już bez sprzętu a tylko z bronią ręczną zabraną z jakiegoś opuszczonego transportu, wyrwała się w zamieszaniu pierwszej nocy i pod dowództwem kapitana Chelkowskiego

zamordowanego później w Katyniu) walczyła jako piechota z Niemcami i z bolszewikami. Ilość żołnierzy stale wzrastała aż do siły batalionu, gdyż nadciągali inni żołnierze Pułku.

Po kilku dniach samotnych walk batalion złączył się z większym zgrupowaniem wojsk. Stale w walkach, zawsze z wiarą batalion w końcu znalazł się w lubelskim wraz z innymi polskimi oddziałami w sytuacji bez wyjścia. Otoczony przez obu wrogów, bez amunicji, bez zaopatrzenia, z ranymi, na rozkaz przełożonego miał dnia następnego złożyć bolszewikom broń. W nocy kpt. Chelkowski zarządził zbierkę wszystkich, w krótkich słowach przedstawił sytuację oraz oświadczył, że sztandar, który od Kowla nosił na piersi pod bluzą, będzie za chwilę spalony, aby nie dostał się w ręce wroga. Zanim jeszcze płomienie ogniska objęły jednak, w ciemności, zapadła, każdy z obecnych żołnierzy Pułku zbliżał się do sztandaru i brał jego część, jedną srebrną nitkę. Z nią szedł w nieznane.

Gdyby ktoś mógł i chciał szukać, znalazłby taką srebrną nitkę i przy tych, których bolszewicy zamordowali w Katyniu, i przy tych, którzy ginęli torturowani w więzieniach i obozach niemieckich i sowieckich.

Z tą srebrną nicią przedzierali się żołnierze Pułku przez wszystkie zielone granice, aby później walczyć na wielu frontach świata, z nią też byli w podziemiach Polski Walczącej.

Na pewno niewiele już tych srebrnych nitek pozostało na świecie, jak nie wielu pozostało tych, którzy je nosili.

Dziś tę część sztandaru Pułku Radiotelegraficznego, część symboliczną zachowuje w swym sercu każdy żołnierz łączności.

Piękna tradycja: pamięć o sztandarze, którą wkrzeszamy jako cywile, na obczyźnie, pomoże nam do przetrwania i doczekania się chwili, gdy złączymy wszystkie srebrne nitki naszych dzisiejszych trudów osobistych i powstanie z nich nowy sztandar Łączności.

A gdyby komuś nie dane było doczekać tej chwili, wiemy, że ten symbol — srebrną nitkę przekazuje synowi. Przejmie ją młodzież i nie nie uroni z tego dziedzictwa.

ARIUSZ BURAKOWSKI

GŁOSY OPINII

O przyjmowaniu obcego obywatelstwa

Autor podpisujący się „Euro” omawia w artykule pt. „Sprawa obywatelstwa” (nr 22 „Pol. Walcz.”) problem przyjmowania obcego obywatelstwa przez obecną polską emigrację.

W związku z tym zagadnieniem nasuwają mi się następujące uwagi:

Zgadza się z autorem, że przyjmowanie obcego obywatelstwa, zwłaszcza w miarę przedłużania się pobytu na emigracji, będzie procesem nieuniknionym. Upieranie się Rządu przy „heroicznym” stanowisku, które miałyby absolutnie obowiązywać każdego emigranta, byłoby linią nieżyłową, ale z drugiej strony sędzę, że zalecanie przez Rząd przyjmowania obcego obywatelstwa, czy nawet planowe organizowanie tego procesu byłoby akcją niemoralną i dyskwalifikującą każdy rząd, który stawia sobie za cel utrzymanie społeczeństwa emigracyjnego na płaszczyźnie niezależności politycznej i otwartości walki o pogwałcone prawa Narodu. Rząd nasz zrobił więc podjętowane przez trzeciwy rozsądek maksymalne ustępstwo, jeśli stanął na stanowisku tolerancyjności wobec uzasadnionych wypadków. I trzeba dodać, że Rząd zajął takie stanowisko nie dopiero obecnie, lecz wbrew niecisłej informacji autora artykułu — właśnie już dwa lata temu.

W niezwykłej sytuacji prawno-politycznej, w jakiej się znajdujemy i wobec braku jakiegokolwiek egzekutywy w rękach rządu, sprawa przyjmowania obcego obywatelstwa stała się siłą rzeczy osobistym moralnym problemem każdego emigranta.

Nie ma powodu przypuszczać, że każdy, kto przyjmuje obce obywatelstwo, będzie stracony dla pracy niepodległościowej, lecz trzeba pamiętać o tym, że kto przyjmuje obce obywatelstwo, przynajmniej nie tylko płynie z tego korzyści, lecz i konkretne obowiązki wobec obcego państwa, obowiązki, które mogą krepować jego działalność polityczną jako Polaka, a w każdym razie mogą być pretekstem do zaniechania jej. Dlatego wartość Polaków, którzy przyjmują obce obywatelstwo, jest z punktu widzenia działalności niepodległościowej na razie niewiadomą i trzeba z oceną jej poczekać aż do czasu konkretnego indywidualnego sprawdzenia, a w każdym razie nie można z góry stawiać na nich jako na wielki i pewny atut naszej siły organizacyjnej na emigracji.

Na niedawnym zjeździe SPK — Oddział W. Brytanii jeden z mówców przestrzegał, aby nie rzucać kłót na

tych, którzy przyjmują obce obywatelstwo, gdyż — jak się wyraził — polskie organizacje społeczne mogą być zmuszone wyciągnąć do nich ręce o pomoc. Nie widzę potrzeby rzucania na nich generalnej kłóty, lecz sędzę, że byłoby poniżej godności, gdyby nasze organizacje społeczne miały pokornie wyciągać rękę o pomoc do takich zasobnych wujaszków. Myslę, że słuszne będzie natomiast, aby społeczeństwo w y m a g a ło od nich podatku narodowego, jeśli zechcą, by ich nadal uważać za dobrych Polaków.

J. Waw.

[Nazwisko i adres znane redakcji].

OD REDAKCJI: Dziękujemy za zabranie głosu w tak ważnej sprawie. Będziemy obojętnie zamieszczali wypowiedzi Czytelników na temat: Jak powinien być rozwiązany przez emigrację wojenną problem obywatelstwa obcego?

Sprawa jest bardzo ważna i delikatna. „Polska Walcząca” podniosła ten problem, ponieważ nie dotyczy on już jednostek, lecz tysięcy obywateli polskich z ucho-dźstwa wojennego. Wszystkie upraszkania i niezręczności ze strony czynników oficjalnych i opinii publicznej mogą przynieść nieobliczalne szkody sprawie polskiej. Tylko rozsądne i odwodne postawienie sprawy może wytyczyć właściwą drogę. Prosimy więc Czytelników o dalsze wypowiedzi i w przyszłości sami zabierzemy głos.

Z listu powyżej zamieszczonego usunęliśmy uwypuklenie głównych myśli w artykule „Sprawa obywatelstwa”, podpisanym „Euro”. Uwypuklenie to nie było ścisłe, prosimy więc o dokładne zapoznanie się z myślami artykułu, który wywołał dyskusję [w nrze 22 „Pol. Walcz.”].

Dla uniknięcia w dyskusji nieporozumień przypominamy, że „Euro” w swoim artykule wyraził opinie, że najwłaściwszym sposobem rozwiązania problemu byłoby wprowadzenie podwójnego obywatelstwa.

Przy tej okazji zwracamy też uwagę, że zagadnienie przedstawione w takim naswietleniu nie koliduje z „Wytycznymi ideowymi” Rady Głównej SPK [patrz nr 21 „Pol. Walcz.”]. Niektórzy koledzy mieli wątpliwości i zwracali na to uwagę redakcji. Rada Główna SPK podkreśliła w „Wytycznych” potrzebę zachowania polskiego obywatelstwa. „Polska Walcząca” szuka natomiast dróg wypełnienia tego nakazu. A najważniejszy nakaz, to przecież utrzymanie jak największej ilości uchodźców wojennych i jak najdłużej w stosunku aktywności do sprawy wywalozienia niepodległości.

Spichlerz za Kanałem

Tak się złożyło, że większość polskich kombatan-tów, pozostających na emigracji, znajduje się w W. Brytanii lub we Francji. Nic więc dziwnego, że przemiany gospodarcze zachodzące w obu tych krajach specjalnie nas interesują. Toczące się różne rokowania handlowe między Francją a Anglią pobudziły obszerną dyskusję na łamach powojennej prasy francuskiej i brytyjskiej w ten sposób, by Francja mogła stać się obok Danii, Holandii, Dominii i Argentyny jeszcze jednym spichlerzem W. Brytanii.

KAŻDY SOBIE...

Gdy rząd i kongres Stanów Zjednoczonych zastanawiali się nad wysokością pomocy amerykańskiej dla Europy Zachodniej w ramach Planu Marshalla na nadchodzący rok budżetowy, zażądano od 19 krajów, korzystających z pomocy, dokładnych planów odbudowy gospodarczej i wyrównania niedoborów w handlu zagranicznym. Ludzono się, że kraje te potrafią ułożyć wspólny program, a przynajmniej „zgrać ze sobą” plany odbudowy. W ten sposób odbudowa Zachodniej Europy miałaby istotnie charakter wspólnego wysiłku. Tymczasem w rezultacie powstało 19 odrębnych planów narodowych, słabo uzgodnionych ze sobą.

Zarząd Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej opatrzył te plany komentarzem, w którym za-znaczono bez ogródek, że wynik podsumowania 19 planów nie jest bynajmniej rzeczą prawdopodobną. Każde z poszczególnych państw bowiem planuje rozbudowę wywozu za granicę i zmniejszenie wwozu, by jak najszybciej wyrównać niedobór w handlu zagranicznym, bez oglądania się na projekty innych krajów. Na przykład wszyscy planują znaczne zwiększenie wywozu towarów do Ameryki, by zarobić więcej tak potrzebnych dolarów, nie doceniając znaczenia konkurencji sąsiadów. Z podsumowania planów wynikałoby, że ogólny niedobór w handlu zagranicznym Europy Zachodniej jako całości zostanie zmniejszony do 1 miliarda dolarów w r. 1953, a tymczasem eksperci oceniają, że będzie on wynosił aż 3 miliardy dolarów.

WINA I PERFUMY

Anglia i Francja są największymi krajami, korzystającymi z planu Mar-

shalla, i pomoc jaką otrzymują jest proporcjonalna do ich obszaru. Na te ich planów odbudowy powstał interesujący spór o winę i perfumy. Francuzi mówili: „Sprowadzamy co-rzaz więcej towarów z Anglii i z Imperium, musicie więc więcej kupować naszych win, perfum, serków i koronek, bo inaczej nigdy nie dojdziemy do ładu w naszych rozrachunkach”. Anglicy odpowiadali: „Ograniczamy się we wszystkim, aby wyleźć w końcu z powojennego bankructwa i bynajmniej nie mamy zamiaru sprowadzać więcej waszych lukusów. Przyslijcie nam pszenicy lub mięsa po ludzkich cenach, to kupimy”.

Francuzi słusznie odpowiadali, że tak od razu nie można zmienić struktury gospodarki kraju. W planach swych uwzględnił jednak zwiększenie produkcji pszenicy o 33%, mięsa o 29%, a nabiału o 59%.

FRANCUSKA PSZENICA

Mimo wielkiej wojennej rozbudowy produkcji zboża, Anglia wciąż jeszcze pokrywa dwie trzecie swych zapotrzebowań pszenicą z dostaw zagranicznych. W swym czteroletnim planie odbudowy W. Brytanii przewiduje zwiększenie produkcji zboża o dalsze 10%, co jednak nie zmienia wielkości jej zależności od zagranicznych dostaw. Produkcja mięsa w W. Brytanii, zmniejszona podczas wojny, za-ledwie powróci do norm przedwojennych dopiero w 1953 r.

Francja miała więc zapewniony rynek zbytu na zboże i mięso w W. Brytanii. Farmerzy francuscy nie będą jednak skłonni rozbudowywać produkcji bez gwarancji zbytu po cenach, które im odpowiadają. Ceny te jednak są znacznie wyższe od np. duńskich, gdyż francuskie rolnictwo nie jest bynajmniej wzorowe pod względem wydajności i nowoczesności metod uprawy. Poza tym niepewna polityka francuskiej waluty (choćby trzeba przyznać, że sytuacja gospodarcza we Francji uległa ostatnio znaczącej poprawie) odstrasza Anglików od podpisywania długoterminowych kontraktów.

Jeżeli jednak przeszkody te zostaną przezwyciężone, nie jest wykluczone, że Francja stanie się za parę lat jeszcze jednym spichlerzem W. Brytanii.

HENRYK TELSKI

Nurt życia polskiego w Kraju

Słowa, które pozostaną...

KSIĘGA PAMIĄTKOWA
LEOPOLDA STAFFA

Ukazała się „Księga pamiątkowa ku czci Leopolda Staffa”, wydana przez Związek Zawodowy Literatów Polskich pod redakcją J. W. Gomulickiego i J. Tuwima. Książkę otwiera podobizna autografu Staffa, wiersza „Przedśpiew”, po czym następuje szereg utworów, złożonych w hołdzie Staffowi przez różnych poetów i prozaików oraz dramaturgów. Tematyka utworów niekoniecznie łączy się bezpośrednio z osobą jubilatą, książka stanowi więc rodzaj antologii.

W dziale pierwszym znajdujemy utwory 60 poetów, w dziale drugim cztery fragmenty dramatów, w dziale trzecim 29 utworów prozaicznych, wreszcie w dziale czwartym 28 studiów i szkiców. Książkę zamyka dział piąty, zawierający bibliografię Staffa zestawioną przez Piotra Grzegorzczaka. Imponująca ilość pozycji wykazuje dowodnie rozległość dorobku poety i tłumacza.

NAGRODA LITERACKA
im. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

Prasa podała wyniki tegorocznego przyznania ufundowanej przez tygodnik „Dziś i Jutro” nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. Nazwę swą nagroda wzięła od imienia młodego, bardzo utalentowanego krytyka i eszysty, który poległ w Powstaniu Warszawskim. Nagrody otrzymali:

naukową (150.000 zł) — prof. Ludwik Hirsfeld z Wrocławia,
literacką (125.000 zł) — Jan Dobraczyński,
publicystyczną (125.000 zł) — red. Jerzy Turowicz,
nagrodę „Młodych” (75.000 zł) — Zygmunt Liechman, b. zdolny krytyk.

Jury wzięło pod uwagę prace wydane w okresie 1948-49 na tle całokształtu twórczości kandydatów.

Nagroda im. Wł. Pietrzaka została po raz pierwszy przyznana w roku zeszłym. Laureatami byli wówczas: Jan Czekanowski, Hanna Malewska i Paweł Jasienica — wszyscy wyznający światopogląd zdecydowanie katolicki i antymarksistowski.

KONKURS NA BAŚNI LUDOWE

W całej prasie krajowej ukazały się ogłoszenia reżimowego ministerstwa kultury i sztuki o rozpisaniu konkursu na literackie opracowanie baśni ludowych, których wybór z materiałów etnograficznych opracował powołany przez to ministerstwo zespół pod kierownictwem prof. Juliana Krzyżanowskiego.

Konkurs jest dwustopniowy. Uczestnicy otrzymują z ministerstwa do wyboru tematy. Opracowania w granicach 15 str. maszynopisu mają być w ciągu maja br. nadesłane do ministerstwa. Dopiero wybrani przez jury uczestnicy, którzy nadesłali najlepsze opracowania, zaproszeni zostaną do zredagowania całego zbioru baśni ludowych. Nagrody (za opracowanie jednej baśni) wynoszą — I-sza 15.000 zł., II-ga — 10.000 zł. i III-cia — 5.000 zł.

Nie ulega kwestii, że skomplikowane warunki konkursu oraz rozdzielanie materiału surowego przez urząd reżimowy mają na celu nadanie zbiorowi polskich baśni ludowych określonego kierunku. Mimo to, choćby sam zbiór nie wypadł bez zarzutu (czego można się spodziewać, przypuszczając, że konkurs pozostawił po sobie szereg wartościowych opracowań, które będą mogły ujrzeć światło dzienne w przyszłości).

ODPOCZYNEK CZY UTRACENIE
ZNAKOMITEGO FELIETONISTY?

W jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego” liczni w Polsce i na emigracji czytelnicy i wielbiciel felietonów Stefana Kisielewskiego (Kisiela), ukazujących się od początku istnienia „Tygodnika” pod tytułem „Pod włos”, ze szczerym żalem przeczytali ujęcie w żalobną obwódkę jego „Pożegnania z felietonem”.

Tryskający dowcipem i żywotnością, niezwykle odważny kpiarz i „liberal” (jak zwykł siebie nazywać), a przy tym wykształcony muzyk, muzykolog i powieściopisarz, Kisielewski swymi żładnymi felietonami blisko trzy lata zalewał sadła za skórę komunistycznym działaczom, a w szczególności marksistowskim intelektualistom w rodzaju Żółkiewskiego, Kotta, Polewki i innych.

Wycofanie się Kisielewskiego ze szranków lejszej publicystyki, w której czuł się znakomicie i gdzie mógł wyżywać swój wulgaryzm i temperament, jest faktem bardzo smutnym i budzącym zadumę. Czyżby „splanowanie” Kisiela było ceną, jaką musiał zapłacić kardynał Sapieha za dalszy — nie wiadomo jak długi — żywot „Tygodnika Powszechnego”. Powrótnie aresztowanie ks. Z. Kacyńskiego i zamknięcie (już parę miesięcy temu) jego „Tygodnika Warszawskiego”, będącego stołecznym odpowiednikiem organu kurii krakowskiej, budzi daleko idące podejrzenia i obawy. Oby okazały się one niesłusznymi.

Stefan Kisielewski zamieszczał w „Tygodniku Powszechnym” 110 felie-

nów, z których niejedną jest prawdziwym majstersztykiem lekkiej prozy publicystycznej i pamfletu. Niektóre z wypowiedzi autora w „Pożegnaniu z felietonem” zdają się potwierdzać wyrażone wyżej obawy.

„Powziąłem decyzję smutną a ponurą — pisze Kisiel: — pora skończyć z „Pod włos”. Ten felieton będzie ostatni — potem długo, długo nie, a potem? — ha, któż to wie?! A nuż — a widelec... Pora wycofać się na upatrzone z góry pozycje”.

W dalszym ciągu ostatniego felietonu Kisiel tak tłumaczy swój (czy dobrowolny?) krok: „Nie więcej w popłochu. Po prostu — odwrót strategiczny, na nowe pozycje celem zdezorientowania przeciwnika: adwersarze przyzwyczaili się walić w to i to miejsce, a tymczasem fik-myk i unie nie ma, a tu naraż pac! — i padają na zęby. To przecież nie sztuka nadstawiać tyłce do bicia, sztuka natomiast nadstawić... figę”.

Choć Kisiel niby przekonywał swych czytelników, że zmęczony był twórczością felietonową, że „brak mu amunicji własnej” — wolimy być ostrożni w sądzie o tym zdarzeniu. Nie chcemy się wierzyć, aby Kisielewskiemu naprawdę zabrakło amunicji. Przyszłość pokaże jak to było z tym „Pożegnaniem z felietonem”, które niżej podpisany przeczytał jak cios osobisty.

WYBÓR LISTÓW
JERZEGO LIEBERTA

Ostatni numer katolickiego miesięcznika dla intelektualistów „Znak” przyniósł niemal sensację literacką w postaci wyboru fragmentów listów prywatnych Jerzego Lieberta. Materiał ten (dotychczas nigdzie niedrukowany) stanowi niezmiernie ciekawe źródło zrozumienia psychiki i twórczości zmarłego młodo największego polskiego poety katolickiego ostatnich lat.

Cenne uzupełnienie tych listów stanowi przedruk kilku wierszy poety oraz piękne studium Ireny Sławińskiej o poezji Lieberta. Zbiorowy tom wierszy zmarłego poety jest obecnie wyczerpany i koła katolickie myślały o ponownym jego wydaniu. Już przed wojną przygotowano do druku zbiór utworów prozaicznych Lieberta, ale działania wojenne przeszkodziły realizacji tego wydawnictwa.

DAR ks. J. PIWOWARCZYKA

Ks. Jan Piwowarczyk, redaktor „Tygodnika Powszechnego”, laureat niedawno przyznanej nagrody publicystycznej Episkopatu Polskiego, przekazał całą sumę nagrody (150.000 zł) do dyspozycji kardynała A. Sapiehy, który zdecydował przekazać ją katolickiej organizacji dobroczynnej „Caritas”.

STOSUNKI KULTURALNE
POLSKO-CZESŁOWACKIE

W okresie dwudziestolecia międzywojennego nigdy nie potrafiłmy ułożyć na stopie przyjacielskiej lub choćby rzeczowej współpracy z Czechosłowacją. A przecież bez względu na uczuciowe animozje i choćby słuszne, ale drobne zadrażnienia, dla każdego rozsądnego Polaka współpraca Słowian zachodnich jest — i pozostanie — życiową koniecznością. Jeśli — w co podpisany wierzy niezmownie — bolszewizm rosyjski zostanie rozbity, to pozostanie Rosja ze swą historyczną zaborczością. I jedynie blok państw słowiańskich, lub lepiej federacja ABC (Adriatyk-Bałtyk-Czarne) będzie w możności oprzeć się Rosji i Niemcom jednocześnie.

Obecnie współpraca polsko-czechosłowacka odbywa się na dużą skalę. Oczywiście odbywa się na rozkaz z Moskwy, ale w perspektywie dalszej przyszłości nie jest to ważne. Stosunki nawiązane obecnie (nie tylko pomiędzy aktywistami partyjnymi, ale i między intelektualistami, a nawet szerokimi masami) przetrwają. Dlatego współpracę kulturalną polsko-czechosłowacką powitać winniśmy z zadowoleniem. Da ona swoje owoce — nie te, które chciałby spożywać Stalin.

W Warszawie został otwarty czeskosłowacki ośrodek informacyjny. Oficjalnie zaopatrzony księgozbiór z zakresu literatury, sztuki i historii, czasopisma, materiały ilustracyjne — wszystko to stanowi cenne narzędzie zbliżenia i poznania narodów czeskiego i słowackiego.

W ramach odbytego niedawno tygodnia przyjaźni polsko-czechosłowackiej uległa silnemu wzmoczeniu wymiana kulturalna obu krajów. M. in. w Warszawie otwarta została wystawa czeskosłowackiej sztuki ludowej, a w wielu miastach odbyły się gościnne występy zespołu słowackiego Teatru Narodowego w Bratysławie, który w bogatym widowisku „Rok na wsi” świetnie przedstawił cały folklor słowacki: zwyczaje i obyczaje, stroje i tańce ludowe.

Z końcem kwietnia rozpoczął miesięczne turnie artystyczne w Polsce znany czeski teatrzyk marionetek Skoupy. Teatr marionetek Skoupy jest jedną z najlepszych imprez tego rodzaju w skali światowej.

OPTYMISTA



Polska muza

Ukazała mi swoje oblicze,
O, Poczo — słoneczna kochanko,
Pół polskich Beatrice
W wieńcu z chabrowi i tymianku...

Po rdzawym idąc rżysku
Przez mgły poranka kroczyś...
Włosy Twoje o lśniącym połysku,
Jak dwa stawy głębokie — tute oczy!

Gdzie stąpisz, życie się zasiewa
Na glebie żartej do kości.
O Tobie śpiewają drzewa
Pieśń wolności!

Gdzie stąpisz, śmierć się przemienia
W życie dzień doskonały.
Zasiewasz ziarna natchnienia
...I martwe skały.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

Nieobecni

Oto jest rząd portretów rodzinnych —
sięgająca w dziś nieobecność,
z upartych cieni wieczoraj —
i nie wiem, kogo mam wnieść,
że wieczność
zakreśliła mię w to koło.

Nie nas już więcej nie łączy:
ni krzyk kulki wieczorem,
ni przygarbione rządy wien —
więc po cóż los nas w ramy wtrącił,
was nieobecnych od wieczoraj,
mnie żyjącego dzisiaj?

Midzy nami jest rzeka milczenia,
midzy nami jest skala czasu,
wysoki mur niepamięci —
nikt z nas już tego nie zmieni
modlitwą na zimnym poddaszu,
ni wyciągnięciem ręki.

Ostatnie słowo w was dawno zamilkło,
ostatnie uczucie spłonęło
na popioł —
jak złodziej chciałbym wynieść się
lecz mię ujęła — [chylkiem,
utopia.

Więc wiszę
w rzędzie portretów rodzinnych
wśród nieobecnych
obojętnych na chworaj
(a może na dzisiaj)
i już nikogo ni winię,
że wieczność
wkreśliła mię w to koło.

HENRYK MIRZWIŃSKI

Pociagi

Ze stacji czarnej od dymu
tyle pociągów odjeżdża:
o piątej — do Londynu,
o szóstej — do Glasgow,
o siódmej minut dwie
do stacji o dziwnej nazwie.

Dudnią, gwiżdżą pociagi
przez całe noce i dnie.
O piątej odjechał pan
z wielką walizką i brzuszkami,
o szóstej — taka miła,
całkiem siwa staruszka,
o siódmej minut dwie
wszyscy odjechali —
oprócz mnie.

Czekam na stacji czarnej od dymu
wsluchany w gwizdy i jazgot
pociągu do Londynu,
pociągu do Glasgow,
pociągu do miasta
o dziwnej nazwie...
Powiodły je lśniące szyny
na wszystkie krańce ziemi.

Czekam na stacji czarnej od dymu
a męgo pociągu wciąż nie ma.

HENRYK MIRZWIŃSKI

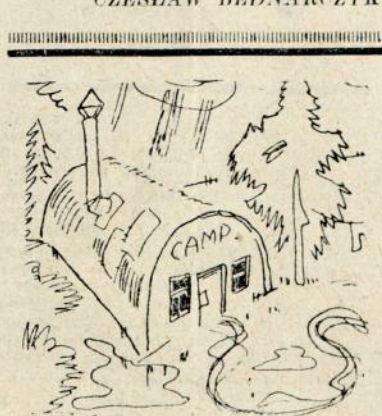
Na torach

Trzeba mieć tylko mięśnie
twarde jak węzły na linie,
znać kilka słów po angielsku
i wierzyć, że kiedyś to wszystko minie.

Ze kiedyś się musi wyjaśnić
kto zbłądził, kto nie miał racji —
czy słusznie na nas wołano:
„O, nierozumni Polacy!”

Trzeba mieć tylko mięśnie,
twarde jak sęki na lasce,
i grzbieć nacytki do zginania,
i krępie, stwardniałe garście.

CZESŁAW BEDNARCZYK



Obrazek z życia wojennego w Polsce

Współczesny
Janko Muzykant

Starsza pani Dropowa i jej fortepian najwięcej mieli do powiedzenia w domu. Gamy, wprawki, łatwe szkolne kawałki i znów to wszystko od nowa dzwierało od dziesiątej rana aż do policyjnej godziny. Jakkolwiek babka Dropowa uważana była powszechnie za głowę rodziny, nie ona to utrzymywała dom, tylko jej synowa, która z ogrodu maksymalnym wysiłkiem mózgu i rąk wyciskała wszystkie soki żywotne gleby. Nie wstydziła się wcale osobiście nosić warzywa na targ. W dźwiganiu ciężarów pomagał jej Jacek. Nie zdradzał on jednak żadnych zainteresowań ogrodniczych, ani tym bardziej artystycznych, przekładając nade wszystko kłapanie się w stawie, rzucanie kamieniami do wróbla i inne tego rodzaju zajęcia najodpowiedniejsze dla młodzieńca, który właśnie zakwita wszystkimi pryszczami swego oblicza.

Pomimo wysiłku obu kobiet, po pierwszych trzech latach okupacji niemieckiej, niedostatek zaczął pomalu zwiędzać Dropów. Rada rodzinna pod przewodnictwem babci postanowiła ratować się sprzedażą rodzinnych pamiątek. Cóż tam można było sprzedać z ich inwentarza? Chyba stare, zakurzone laurawe wieńce po św. pamięci dziadku, znanym wiołonczeliście, wieńce zdatne obecnie tylko już chyba na przyprawę kuchenne, jako bobkowy listek. Babka miała jednak w swoim nocnym stoliku skarb zaniedbany w blazanym pudełeczku po zużytych dawno, przeczyszczających pigułkach. Pudełeczko wysłane było wata, a skarb owinięty w stłalą bibułkę. Był to pierścień z wielkim szmaragdem. W zielonych głębiach piękne kamienia zawieszono były półprzejrzyste festony pajęczakowe jakby draperii. Jacek zmrzywszy jedno oko zajął uważnie do wnętrza i wydawało mu się, że rozsunął tam woale są kotarą ukrywającą coś tajemniczego.

— Jest to dar samego sułtana, ofiarowany twojemu dziadowi, oświadczyła babka.

Jubiler zajął tak samo jak Jacek do wnętrza kamienia, tylko że użył do tego wetkniętej w oko jak monoklupy, po czym pokręcił głową. Jubilerzy zawsze kręca głową, ilekroć chcą się sprzedać jakiś rodzinny klejnot. Okazało się, że kamień ma błądy i że w ogóle szmaragdy teraz „nie idą”.

— Kolorowych kamieni nikt dziś nie kupuje. Gdyby to był brylant, to co innego... — I po zafiarowaniu pięć razy niższej ceny, niż się tego babka spodziewała, nabył go, i wtem z całą pewnością — sprzedał za wielokrotny zarobkiem pewnemu gestapowcowi.

Sprzedaż zamglonego szmaragdu zrobiła na Jacku niespodziewanie wielkie wrażenie. Kazał sobie dokładnie opowiedzieć, jak się to stać mogło, że sam sułtan podarował go dziadowi.

Babka opisywała z lubością i odcieniem dumy w głosie historię dnia, kiedy to ona ze swym sławnym już wówczas mężem, przybyła w karecie do sułtańskiego pałacu, jak czekali w złoconym gabinecie, a z sąsiedniej sali dobiegał gwar głosów dworskiego przyjęcia. Opowiadała jak dziadek miał tremę, jak wyszli w końcu na salę, jęcząc za tysiącem świec w kandelabrach. Chwycę pomyki odbijały się w lustrach, klejnotach i szamierowaniach. Sułtan, brodaty pan przyodziany w fez, siedział w kręgu dygnitarzy. Ona, babka, była jedyną kobietą na sali. A była wówczas młoda, nosiła długą czarną, dżetową suknię i miała akompaniować mężowi. Pierwszy akord i smyczek wydobyl z wiołonczeli aksamitną wstęgę melodii.

W tonach jej zbłądziły wszystkie wspałości pałacu, majestatem stała się tylko muzyka. Po skończonym koncercie sułtan zdjął z palca pieścię... Adjutant zaś ofiarował jej, babce bukiet róż.

— Co się stało z wiołonczelą? — zapytał Jacek.

Babka nie mogła sobie przypomnieć. Od tego dnia Jacka nie trzeba było już zapędzać do fortepianu. — Grał, a co więcej, zaczął robić zdumiewające postępy. Babka była z niego teraz dumna i nawet odmówiła się od kilku lekcji, aby mieć więcej czasu na uczenie wnuka.

Przyszł dzień 1945 roku. Prawy brzeg Wisły wezbrał krwistą pianą łun, łomotem żelaza i hukem dział. Wreszcie tamy pękły i lawina sowieckiej armii przełaziła się przez miasto.

Dom Dropów cudem jakimś ocalał. W każdym razie na zewnątrz nie widać było żadnych poważniejszych uszkodzeń. Ale jakiś zbłąkany pocisk przebił blaszany dach, wewnątrz się do środka i zdemolował pokój od ogrodu, gdzie stał fortepian. Powinni byli zginać wszyscy, ale zginął tylko fortepian i stara babka Dropowa, zabita (o ironio), nawet nie odpryskiem granatu, a żelastwem fortepianu. Taka to już była muzyczna rodzina.

Gdy gesty, żółty kurz zburzonych tynków osiadł, znaleziono ją martwą wśród zerwanych, poplątanych strun instrumentu.

W kilka godzin później cały dom Dropów został doszczętnie obrabowany. Sowieccy żołdacy w poszukiwaniu wódki kradli i niszczyli wszystko, co im wpadło w ręce.

Pierwszym problemem w nowej rzeczywistości było pochowanie zabitej babki. Ciało jej trzeba było samym zanieść na rękach do kostnicy. Dalej przyszła sprawa jada. Prócz ziemniaków w piwnicy Dropów nie zostało nic. Wtedy to Jacek, zacinawszy zęby, poszedł ostrym kozikiem wycinać z padłych koni, porzuconych na ulicy, polce zmarzniętego mięsa. W ogóle rządy w domu po śmierci babki objął on teraz niepodzielnie. W szesnastym roku życia poczuł się dorosłym mężczyzną, odpowiedzialnym za matkę, dom i całą przyszłość. Z furją zabierał się do reperacji dachu, latania pobitych okien i umacniania zamków. On sam chodził teraz na rynek z ziemniakami i beużytecznymi łachami po babce, za co dostawał chleb i mleko.

Po miesiącu może, po decydującej rozmowie z matką, postanowił wypuścić się „na szaber”. (Jakoś żyć trzeba!). O zarobek w tych wilczych czasach najłatwiej było tym, którzy się odważyli jechać na ślad za posuwającą się czerwoną armią na zachód. W opuszczonych niemieckich domach można było brać wszystkiego do woli. „Cuuchy” te zamieniali się później u chłopów na mąkę, słoninę i to wszystko, co można włożyć do garnka.

Sprawa pozornie była prosta, trzeba było mieć tylko plecak napęczniony prowiantem i parę butelek wódki. Pościąg chodzący na niektórych jedynie odcinkach, ale flacha gorzały pozwalała zająć miejsce w napotkanej, sowieckiej ciężarówce.

W Katowicach był już spory ruch. Jedni napływali ze wszystkich stron, by odzyskać zarobowane przez Niemców mienie, inni by chwycić opuszczone cudze, wszystko jedno co, byle niczyje.

Przed dworcem, gdzie Jacek stanął bezradnie, myśląc o zdobyciu noclegu, zaczął go jakiś wyrostek:

— Obywatel „na szaber”?

Jacek zaczął się tłumaczyć w mętnych słowach, że babka właśnie i że matka... Tamten się tylko zaśmiał w odpowiedzi.

— Ja obywatelowi coś powiem: tu się szabru nie uskutecznia, trzeba jechać dalej, na Opole.

Przygodny towarzysz Witek był już doświadczony i wiedział, jak się co załatwia. Jacek zrezygnował z noclegu w Katowicach. Noc spędził w polśnie na mrozie i wietrze. — Szynny, tory, dzwoniące żelastwem wagonów.

Pociąg zatrzymał się na małej zrujnowanej stacyjce. Obudził go towarzys. Wyszedł na ulicę. Choć to już miesiąc upłynął od działań wojennych w tej okolicy, popioły wypalonych domów ciepłe jeszcze były i unosił się swąd pogorzelska.

Na placu rynkowym stało parę nieumarzonych kamieni. Jedną z nich przedstawiała się okazale, z przysadzistymi filarami podcieni. Wszedł na klatkę schodową. Schody były stare, z balustradą rzeźbioną w debie czarnym od starości. Na piętrze coś zaszeleściło.

Witek wylał kopnięciem jeden z pięknych filarów i tak uzbrojony poszedł pierwszy po schodach. Na górze skrzypnęły drzwi, gdy jednak stanęli przed nimi, były już zamknięte. Uderzeniem swej maczugi rozbił kolorowe szybki, sięgnął do wewnętrznej i otworzył kłamek. W przedpokoju stały dwie przerażone kobiety. — młoda i stara.

— Pewno babka z wnuczką, — pomyślał Jacek.

— Wir sind keine Parteigenossen, — powiedziała blada jak trup starsza Niemka. — Hitler niedobra, Stalin dobra!

— Głowy mi nie durz! — Taki sam akurat jeden, jak i drugi! — odpowiedział przewodnik Jacka. — Daj nam lepiej, stara, kawy, — gib uns Kaffee!

— Kein Brod, kein Kaffee, wir sind selbst hungriig, — zajęczała.

Jacek stał w drzwiach przedpokoju niemniej przerażony od kobiet. Gotów był oddać im swój czerstwy razowiec, jaki miał jeszcze w plecaku. Towarzysz tymczasem buszował w drugim pokoju, przeprowadzając „rewizję”. Jacek popatrzył na młodszą i zaczął pospiesznie rozwiązywać swój węzelek.

Stała zdziwiona i pełna niedowierzania, nie wiedząc co począć z ofiarowanym sobie chlebem. Zawahała się, a potem z uśmiechem wdzięczności rzekła po niemiecku:

— Zaprowadź was do domu, z którego wszyscy uciekli. Jest próżny, a nikt go jeszcze nie rabował... Nie odwiedzał... — poprawiła się szybko.

Witek nie ufał dziewczynie, ale poszedł. Od rynku odchodziła wąska uliczka. Miasto było niewielkie i już u wylotu jej prześwitywały zasniezone pola. Na skraj, w ogrodzie, stała willa. Drzwi frontowe były uchylone i wiatr wniósł do hallu zwały śniegu.

— No, bracie, chalupa nieczego sobie, — rzekł Witek. — Tu się obłowimy.

Dziewczyna, która stała dotąd w drzwiach, zaczęła się wycofywać na dwór.

Przeszukiwali szafę po szafie, szufladę po szufladzie, cały dom od piwnicy aż do strychu.

(Dokończenie na str. 4)

Z teatru: „ZNAJDA”

Komedia w 3 aktach Romana Niewiarowicza. Gra Polski Teatr Dramatyczny. Reżyser Wacław Radulski. Premiera w Londynie.

„Znajda” — to rzecz o ludziach do- brych, o ludziach szlachetnego serca, którzy zajmują się z całym oddaniem, z całym poświęceniem się 16-letnią sierotą, uroczym dziewczęciem, zupeł- nie pozbawionym opieki na gruncie po- wojennej Warszawy. Jest to rzecz na- pisana żywym dowcipnym językiem, charakteryzującym każdą postać jak najbardziej wyczerpująco.

Szofer, właściciel rozklekotanej tak- sówki, widząc jak jadący w tej jego taksówce starszy jegomość napastuje młodą panienkę w sposób ordynarny i brutalny, ratuje ją z opresji, po czym dowiedziawszy się, że przed chwilą do- piero przyjechała do Warszawy i że jest samotniczką na świecie, zabiera ją do siebie. Razem ze swym przyjacie- lem — doktorem — postanawiają za-łożyć spółkę ojcowską dla opiekowania się i kształcenia „małej”. Po upływie dwu lat „mała” ma już świadectwo dojrzałości. Teraz kolej na wydanie jej za mąż, co też wkrótce nastąpi, bo szczęśliwy „konkurent” znalazł się na poczekaniu.

Ale nie tylko szczęśliwy konkurent jest w tej sztuce. W ciągu dwu aktów publiczność zaśmiewa się na widok 65-

letniego „amatora kwaśnych jabłek”, który się zapalił do żeniaczki z 18- latką.

Fascynująca jest postać szofera, Ko- cha wierną miłością doktora — „bur- żuazja”, „inteligenta” itp. — bo ten w obozie uratował go — chorego na tyfus — od śmierci. Szofer jest szla- chetny i dobry, jest wzruszający. Piękny typ prostego człowieka.

I takim właśnie był Bogdan Urbanowicz. Żywy Florek Pakulka! Szofer „warszawski” z krwi i kości.

Adolf Bożencki w roli zakochanego szlachy z Kresów, prezesa Koli- tyńskiego dał nam świetną kreację, raz po raz wywołując oklaski przy otwartej kurtynie. Przyjaciół szofera, doktor Bogdan Tarnicki, to rola jakby specjalnie stworzona dla Zygmunta Rebeckowskiego, który siedzi w niej jak we własnej skórze.

„Mała”, Krystyna Kowalska, w in- terpretacji Janiny Gaar, młodej, uro- czącej aktorki to najczystsza prawda ży- ciowa. Każdy grymas, każdy uśmie- szek, każdy ruch, wszystko — finezja. Janina Gaar — to artystka o talencie Jadzi Andrzejewskiej, który — odno- sząc wrażenie — rozwinię się z czasem bardziej bogato i z znacznie piękniej.

Epizod Ryśki, który zagrała Ada Iwanowska, zaskoczył nas. Ta — zdawałoby się — powściągliwa, pełna

umiarku aktorka pokazała siebie w „Znajdzie”. Zagrała Ryśkę z taką furją, tak rzetelnie, jak lepiej nie można.

Bogdan Dolinski, młody, początku- jący aktor, wystąpił w roli szczęśliwe- go konkurenta, Stefana Klona. Zagrał dobrze: swobodnie i naturalnie.

Teraz słów parę o reżyserii Wacława Radulskiego. Mam przeświadczenie, że się nie omyli, jeśli stwierdzę, iż Ra- dulski dał z siebie wszystko. Niczego nie przeczył, wszystko wyzyskał! I w rezultacie jest bardzo dobre widowisko, obfitujące w przeżabawne i pełne wy- razu sceny.

Dekoracje Jana Smosarskiego jak zwykle dobre. Światła — Michała Wil- czewskiego — bez zarzutu.

J. Jastrz.

P.S. Jak na premierze poinformo- wano publiczność, autor tej świetnej komedii, Roman Niewiarowicz, prze- bywa — chory na gruźlicę — w Zako- panem.

Teatr Dramatyczny postanowił spła- cić swoje zobowiązania wobec autora, wysyłając do niego lekarstwa potrzebne dla kuracji: penicylinę i streptomycynę.

— O —

Nowe władze SPK na okup. brytyjskiej

W dniu 31 maja br. odbyło się w Hameln nad Wezurą konstytucyjne posiedzenie nowej Rady Oddziału SPK na okupacji bryt. Niemiec, wybranej przez III Zjazd Oddziału.

Rada wybrała swoje Prezydium w następującym składzie — koledzy:

A. Aleksandrowicz — przewodniczą- cy Rady (wybrany jednogłośnie i po- raz wtóry), A. Paciorek — I wicepre- wodniczący, S. Kurcz — II wiceprez. (po raz wtóry), Z. Fabis i T. Kier- kowski — sekretarze.

Następnie Rada Oddziału dokonała wyboru Zarządu Oddziału w następu- jącym składzie — koledzy:

J. Zawalec-Mowiński — prezes (je- dnogłośnie i po raz czwarty), J. Kwiat- kowski — I wiceprezes (po raz trzeci), W. Plechawski — II wiceprezes, W. Gierczycki — sekretarz, J. Jenke — skarbnik (po raz trzeci), A. Piasecki i J. Gałgancz — członkowie Za- rządu.

— O —

Podziękowanie

Zarząd Koła Nr 11/SW składa pracownikom BIP-u gorące podzięko- wanie za owocną pracę w pomocy członkom Koła w sprawie zatrudnienia, informacji i porad. Równocześnie stwierdza, że dzięki pozytywnej dzia- łalności BIP-u szereg członków Koła otrzymało pracę i pomoc pracującą.

Zarząd Koła żywi głębokie przeko- nanie, iż w atmosferze koleżeńskości współpracy między BIP-em i Zarządem Koła będzie rozwijać się dalsza akcja pomocy członkom Koła Nr 11.

K. Terpiłowski

Sekretarz

T. Jurowski

Prezes

S. ZAGNANIEC

Przypominamy

o odnowieniu prenumeraty!

Wieczór Józefa Czapskiego

Londyński wieczór autorski Józefa Czapskiego z Paryża był opowiadaniem o kolejach losu książki pt. „Na nie- ludzkiej ziemi”.

Autor mówił zwłaszcza o stosunku do niej francuskich wydawców. Książ- ka była przygotowana do druku rok przed jej ukazaniem się. Ale nikt nie chciał jej drukować — po francusku — bo, jak mówiono, książka jest prze- rażająca antysowiecka a zarazem — prawdziwa. Bano się narazić Sowietom.

Teraz stosunki się zmieniły. W cią- gu jednego zaledwie roku nastawienie większości Francuzów do państwa so- wieckiego ulega zmianie o 180 stop- ni. Dlatego też książka ma na ogół dobrą ocenę. I tylko jeden znalazł się krytyk nieprzychylny — jakieś mało znane nazwisko z Orleanu. Ale ta jego nieprzychylna opinia musi z na- stawienia do Polaków, których on uważa tylko za... szczerp. Zresztą, nie tylko Polaków, O narodzie ormiańskim jest on też tego samego zdania, o niektórych innych — również. A Po- lacy działają mu wyraźnie na nerwy. Zna ich z obozów koncentracyjnych i jest zdania, że są to barbarzyńcy. „I pomyśleć” — tak kończy swą re- cenzyję — „że za tych ludzi myśm się bili!”

Zastanawiając się nad różnorodnością podejścia do książki „Na nie ludzkiej ziemi”, szczególnie mówię o niektó- rych głosach krytyki polskiej: autor wyraził opinie, że wypowiedzi polskie o stosunkach polsko-rosyjskich muszą być bardzo powściągliwe. Bo tylko powściągliwość daje porządane wyniki. Przedstawienie zaś w czarnych bar- wach charakteru narodu rosyjskiego, na przykład jako narodu niewolników, lub religii prawosławnej jako nie ma- jącej wartości religijnej czy moralnej — daje taki rezultat, iż Polakom się nie wierzy. Biorą nas po prostu za szowinistów. A jest to wielka szkoda narodowa.

I dlatego bardzo zabolala autora krytyka K. Zbyszewskiego (w „Wiadomościach”), napisana w nietoleran- cyjnym duchu w stosunku do narodu rosyjskiego. Bo można — z uzasadnio- nych względów nawet nienawidzić ja- kiegoś narodu, lecz nie należy nim pogardzać. Pogarda wypowiadana wo- bec innych nastroja słuchających prze- ciw tym, którzy mówią z pogardą.

W dyskusji, która się wywiązała z pytań, p. J. Niemojowski, krytykując „Na nie ludzkiej ziemi”, wykazał, że zawiera ona pewne luki, których — jego zdaniem — trzeba było uniknąć. Przyznając mu częściowo rację, autor wyjaśnił, że pewnych zagadnień nie poruszał choćby z tego powodu, że się z nimi nie zetknął.

Poza tym Czapski zacytował znane powiedzenie Przybyszewskiego, że „książki nie pisze się tak jak się chce, ale tak jak się musi”. Musi się być w zgodzie z własnym nakazem wewnętr- znym. Otóż jego książka też powstała z tego wewnętrznego nakazu.

„Wieczór” został zorganizowany sta- raniem „Składowi Harcerskiej” i Kręgu Starszoharcerskiego w sali klu- bowej Domu Harcerskiego, która była przepelniona. Zaliczyć ten „Wieczór” należy do bardzo udanych i zajmują- cych. Zwłaszcza, że przybyli nań dość licznie pisarze i publicyści.

„Wieczór” odbył się 31 ub.m. Bez- pośrednio przed nim J. Czapski był obecny w „Składowi Harcerskiej”, gdzie odbywała się specjalnie zorga- nizowana sprzedaż jego książki „Na nie ludzkiej ziemi”.

Było by bardzo wskazane, aby w „Domu Harcerskim” mogło się od- bywać więcej odczytów, przeznaczonych dla szerszej publiczności.

J. J.

OD REDAKCJI: Omówienie książki J. Czapskiego, pt. „Na nie ludzkiej ziemi”, zamieścimy w bliskiej przyszłości.

Współczesny Janko Muzykant

(Dokończenie ze str. 3)

— W biurku ja będę patrzył, boś ty za głupi. — I przyniesionym z kuch- ni tasakiem Witek zabrał się do ro- boty.

Tymczasem Jacek wyciągnął z kre- densu wielką, jedwabną serwetę, ro- zesał na podłozie hallu i rzucał na nią wszystko, co mu się cenniejsze wydawało. Znalazł męskie ubranie. Przyniósł marynarkę, — była za obszerna.

— Nie szkodzi, — pomyślał, — sprzeda się, prawie nowa!

W garderobie przy sypialni, wisiały damskie suknie. Wybrał takie, któ- re by się matce mogły podobać i przy- dać. Potem do tłumoku dorzucił po- ścielową bieliznę. Przypomniał sobie, że matka coś mówiła o porcelanie: że spódnice, że łatwo sprzedać.

W salonie krag rozstańczonych, por- celanowych, holenderskich dzieci, przeglądał się w czarnym lustrze lakierowanej płyty fortepianu. Siega- jąc ręką do tej zdobyci postanowił choć jednym okiem zerknąć na in- strument. Otworzył pokrywę i do- tknął klawiatury. Dwa, trzy akordy. Potem zaczął grzebać w nutach. Mo- zart, Schubert, Schuman, Brahms... Gorączkowo przeglądał folię. Zre- zygnował z porcelanowych figurek, zaprzęgnął miedź nuty. Powybierał, ułożył to wszystko, co najbardziej po- ciągało go największami i tytułami, związał nuty sznurem, urwanym od portierki i zaniósł do hallu. Wtedy zrobiło mu się żal tych tomów, które dopiero co sam zdysfalkifikował.

Wrócił więc i zaczął je raz jeszcze przeglądać. Niektóre z nich pisane były na skrzypce.

— Ach, gdyby tu skrzypce były! — westchnął.

Nagle w kącie pokoju, za forte- pianem, zauważył spore pękate pudło. Położył je na dywanie i otworzył oszo- nie nikłowe zamki. Wewnątrz spoczy- wała wiewióra w talii, bursztynowa, uwodzieleńska i bezbronna, niby pan- na we śnie — wionolozela. Wyłuskał ją z pudła. Instrument dudnił gło- boko i niepokojąco. Szarpnął za stru- ny.

— Oddaj mu ty swoje „ciuchy” z tłumoka, — zawyrokował Witek. — Co masz się z nimi wozić?

Kolejarz obejrzał zawartość pakun- ku i zadowolili się tą zapłatą, ale wi- docznie żal mu się zrobiło Jacka, gdyż odezwał się:

— A co kawalerowi zostanie „na pamiątkę”?

Witek gwizdnął łobuzersko przez zęby, po czym wydał pogardliwie usta i powiedział za Jacka:

— Panie majster, niech pana o tego frajera głowa nie boli! Dla niego nawet szkoda tych „ciuchów”. Jemu „grajpudło” wystarczy. To taki... — skrzywił się i szukał odpowiednie- go określenia, — taki... „Janko Mu- zykant”!

S. ZAGNANIEC

TANIA KSIĄŻKA - dla każdego!

Bitwa o Monte Cassino — Wańkowicz (3 tomy w opr.)	45/-
Chłopi — Raymont (4 tomy)	15/-
Czerwony Słonek — Bohusz-Szysko	3/6
Republika Atomowa — Bohusz-Szysko	2/6
Kapitan Łuna — Goetel	4/-
Dzieje 2 Korpusu — Felsztyn	2/6
Budujemy kanał — Olszewski	3/-
Późna zemsta	
Ulubienica publiczności	
Błękitny Brylant	
Pies Baskervilleów	

Wysyłka bezpłatna natychmiast po otrzymaniu należności.

CENTRALNA SKŁADN. KSIĄŻEK SPK
57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9

Pomożesz rodzinie w Kraju, wysyłając wartościowe artykuły

NYLONY-POŃCZOCHY gatunek A, 1 para 14/-
gatunek B, 1 para 12/6

Dwa klipy białego nylonu 12/6, dwa klipy złotego nylonu 11/6

PIÓRA PARKER DUOFOLD 30/-
VICTORIA 21/-

LEKARSTWA specyfiki i według recepty po cenach kontrolowanych,

MATERIAŁY na ubrania, płaszcze, suknie i kostiumy.

Próbki na żądanie. Wszystkie przesyłki polecane lub ubezpieczone.

Zamówienia wykonujemy natychmiast po otrzymaniu należności.

BIURO PACZEK SPK
57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9.

WĘDLINY!

SALAMI AUSTRALIJSKIE	7/6 za lb.
SALAMI BELGIJSKIE	7/6 za lb.
KIELBASA DUNSKA	8/- za lb.
MORTADELLA	7/6 za lb.
SALAMI WĘGERSKIE	9/- za lb.

dostarcza do obozów, hosteli i ośrodków polskich w Wielkiej Brytanii

BIURO PACZEK SPK
57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9.

Nadto po otrzymaniu Postal Order'u wysyła pocztą od 2 lbs wzwyż nie doliczając kosztów wysyłki.

Kupując

POWOLUJĄCIE SIĘ
NA OGŁOSZENIA
W
POLSCIE WALCZĄCEJ

Poszukujemy

KROJCZYCH I KROJCZYNI do ko- szul męskich oraz **KRAWCZYNI** do koszul męskich. Dobre warun- ki, 5 dni pracy w tygodniu. Zgło- szenia: BRICK LANE CLOTHIERS 53, Brick Lane, London E. 1, Tele- fon: BIS-9373.

WYDAJE „FIGHTING POLAND” TRUST
ADRES REDAKCJI (Editorial Offices): 20, Queen's Gate Terrace, London S.W.7. Tel. WESTERN 0747. W czwartki i piątki. Tel. Slough 21230. Redaktor przyjmuje we wtorki w godz. 10-13 (Redakcja nie zwraca rękopisów nie- zakwalifikowanych do druku).

WARUNKI PRENUMERATY: z przesyłką pocztową w W. Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie \$1.00 (Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „Fighting Poland” Trust pod adresem Administracji).

CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez jeden łam — £1.10.0 (\$5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierw- szej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrot- ne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaopiniowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

ADRES ADMINISTRACJI: 57, Edbrooke Road, London, W.9. Tel.: CUNNINGHAM 5594. (Przy wszelkiej koresponden- cji, przekazywaniu pieniędzy, zmianie ilości prenumerowanych egzemplarzy itp. prosimy o podawanie dokładnego adresu, a przy zmianie adresu — o podawanie również starego adresu).